

I. 439. 227

MOJE POWIASTKI

---

WARSZAWA, — DRUK SYNÓW ST. NIEMIRY, PLAC WARECKI 4.

MOJE  
POWIASTKI

16 KRÓTKICH POWIASTEK

DLA MAŁYCH DZIECI

PRZEZ

ZUZANNĘ MORAWSKĄ

z rycinami L. ILINICZA.



WARSZAWA  
NAKLAD KONSTANTEGO TREPTĘGO  
MARSZAŁKOWSKA 149

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 12 Сентября 1902 года.



I. 439.227

1970 K 643 / 52



## Słoneczko.



**B**iało było na  
świecie i o-  
kna w pokoju zu-  
pełnie zamarły.

— Nie możesz,  
Janinko, wyjść na  
spacer, bo zimno dziś bardzo—rzekła  
mama.

— A kiedy ja wyjdę? — spytała dziew-  
czynka.



— Gdy słońce zaświeci i mróz zejdzie z okien — odrzekła mama.

Dziewczynka zasmuciła się bardzo i poczęła bawić się lalką a potem oglądała obrazki w książeczce, którą od tatusia dostała.

— Ach, żeby to już jak najprędzej było lato!—westchnęła, oglądając obrazek, na którym były zielone drzewa, ozłoczone słońkiem i jakaś dziewczynka bawiła się na trawie.

Wtem słońko zajrzało do okna.

Janince zaraz się weselej zrobiło, spojrzała w okno, słońko zrobiło sobie w mrozie okrągły otwór i do pokoju zagląda.

Patrzy... jakby duży złoty pieniądz, leży coś świecącego na stole.

— Ach, to słońko, słońko!—zawołała

dziewczynka z radością i przykryła odbicie słońka rączkami.

— Teraz mi nie uciekniesz słoneczko! — wołała.

Tymczasem słońko się wymknęło z pod jej dłoni, ale za to oświeciło jej rączki.

Dziewczynka chwilę patrzyła na ozłoczone rączki, ale słońko zsunęło się wkrótce i znów zaświeciło, jak złoty pieniądz dalej na stole.

Janinka ciągle przykrywała dłońmi słoneczko, a ono coraz większy robiąc otwór w zamarzniętym oknie, migotało złotym blaskiem po podłodze i po rozmaitych sprzętach.

Janinka goniła złotą kulę, przykrywała rączką, ale słońko ciągle jej się wymykało.

Nareszcie zaczęło migotać po ścianie.

Janinka stojąc, patrzyła na migocącą złotą kulę, czasem klasnęła w rączki, wołając:

— A sio!

— Co ty robisz, Janinko? — spytała mama.

— Chcę zatrzymać słońko, a ono mi wciąż ucieka! — odrzekła dziewczynka.

Mama uśmiechnęła się i rzekła:

— Jakie też z ciebie dziecko, — czyż słońko można zatrzymać?

— Kiedy tak migocze i zagląda, chce się widać bawić ze mną, więc je gonię! — mówiła dziewczynka, wodząc oczami za migocącym słońkiem.

— Ale dla czego ja schwytać słońeczka nie mogę? — spytała.

Mama wzięła na kolana Janinę i tak jej powiedziała:

— Nim się zaczniesz uczyć i dowiesz się, co to jest słońko, zapamiętaj sobie, że słońko dla wszystkich świeci i cały wielki świat ogrzewa.

Gdybyś ty mogła schwycić słońko i schowała je dla siebie, innym byłoby zimno i ciemno.

Janinka zamysliła się, a potem spytała:

— Czy słońko zagląda do tej biednej chorej dziewczynki, której zaniosiłam dziś mleczka i bułeczkę?

— Zagląda, słońko wszędzie zagląda, oświeca i ogrzewa świat cały—odrzekła mama.

— Oh, to niech ono jak najczęściej zagląda do tej chorej dziewczynki, ona taka biedna, taka smutna, a gdy słońko zaświeci, zaraz jej będzie weselej! — mó-

wiła Janinka, patrząc na migocące odbicie słonka.

A potem złożwszy rączki, dodała:

— Idź, idź, słoneczko, do niej, ja cię bardzo, bardzo proszę.



## Kruczek.



**A**nielka pojechała z mamą na letnie mieszkanie. Mieszkały w lesie w małym domku i było im bardzo dobrze.

Gospodarz tego domku miał dużego psa, którego zwano Kruczek.

Kruczek był tak duży, że prawie sięgał do ramienia Anielce; miał sierść długą, czarną, lśniącą, — uszy kudłate i bardzo mądre oczy.

Anielka zaprzyjaźniła się z nim odrazu.

Z obiadu zostawiała mu zawsze kostki od kurczęcia i skrzętnie składała



wszystkie resztki z talerzy, ażeby je potem oddać Kruczkowi.



Kruczek odwdzięczał jej się za to i gdy tylko usłyszał głos Anielki, biegł, szczerząc radośnie i wywijając puszystym ogonem.

Chodził też prawie zawsze z Anielką na spacer. Dziewczynka miała zawsze w kieszonce kawałek cukru, lub chleba i od czasu do czasu dawała Kruczkowi, a ten jej się łąsił, kładł łapy na ramiona i nieraz o mało jej nie przewrócił.

Razu jednego wyszła nieco dalej na drogę, wtem duży kozioł, który się pasł przy drodze, rzucił się wprost ku niej, grożąc rogami.

Anielka zaczęła uciekać, ale z pewnością kozioł byłby ją dogonił, gdyby nie Kruczek, który złapał go za nogę i dopóty trzymał, póki Anielka nie wróciła do domu.



Potem przybiegł i z wielkim tryumfem i radością począł koło niej skakać i lizać po rękę.

Anielka objęła jego duży kudłaty łeb rączkami i głaszcząc, mówiła:

— Dobry Kruczek, dobry,—dziękuję Kruczkowi, że mnie obronił od tego brzydkiego kozła.



## Pan doktor.



Lalka Zosi bardzo zachorowała, od wczoraj leży w łóżeczku i oczek wcale nie otwiera.

— Zosiu, pójdź ze mną bawić się!—zawołał Władzio, synek sąsiada, otwierając drzwi do pokoju.

— Nie mogę, moja Bibi bardzo chora, muszę jej pilnować!—odrzekła smutnie Zosia.

— Cóż to jest twojej lalce?—spytał Władzio.

— Nie wiem, dawniej była taka wesoła, ciągle się śmiała, trzepotała rączkami,



a teraz patrz, leży, ani się ruszy! — mówiła Zosia.

— Eh, głupstwo, poleży to i wyzdrowieje! — zawołał Władzio.

Lecz nagle przybrał bardzo poważną minę i rzekł:

— Może chcesz, żebym poszedł po doktora?

— Idź, idź, mój Władziu! — prosiła Zosia, składając rączki.

— Dobrze, bądź spokojna, wkrótce przyjdzie doktor — odpowiedział Władzio.

I wybiegł z pokoju.

Wkrótce przyszedł pan doktor.

Ale któżby w nim poznał Władzia! Miał długie czarne ubranie, okulary na nosie, a w ręku duży kapelusz.

— Któż tu u pani chory?—zapytał, podając rękę Zosi i rozglądając się przez okulary po pokoju.

— To moja córeczka, Bibi, dziś mi zachorowała!—odrzekła Zosia.

Doktór postawił na biurku kapelusz, przybliżył się do łóżeczka, wziął za rękę Bibi i kręcąc głową, rzekł:

— Ho, ho, silna gorączka, co za rumieńce!

— Ale ją pan doktor uleczy?—spytała z wielkim niepokojem Zosia.

— Ależ naturalnie! — odrzekł doktor.

— Zaraz zapiszę lekarstwo — dodał.

I usiadłszy przed biurkiem, pisał receptę a Zosia stała za nim, patrząc mu przez ramię z wielkim niepokojem.

— Zaraz trzeba posłać do apteki — rzekł doktor, wskazując receptę.

Zosia wzięła papier i uchyliwszy drzwi, zawołała:

— Moja Józefo, biegnij z tą receptą do apteki.

— Poczekam, aż przyniosą lekarstwo i sam jej wleję w buzię, bo takie rozpieszczone jedynaczki lubią grymasić! — ozwał się troskliwy doktor.

Zosia uśmiechnęła się, otworzyła znów drzwi i postawiła przed doktorem butelkę napelnioną wodą.

— Proszę o łyżeczkę! — rzekł doktor. Zosia podała łyżeczkę.

Doktor nalał z fiaszeczki na łyżeczkę, Zosia podtrzymała Bibi, a doktor wlewał jej w buzię lekarstwo.

Lecz obleli całą buzię.

Zosia poczęła ją wycierać.

— Ach, jak ona zbladła! — zawołała dziewczynka, oglądając ręcznik i spoglądając na leżącą Bibi.

— To znaczy, że lekarstwo od razu poskutkowało! — odrzekł pan doktor, poprawiając spadające okulary.

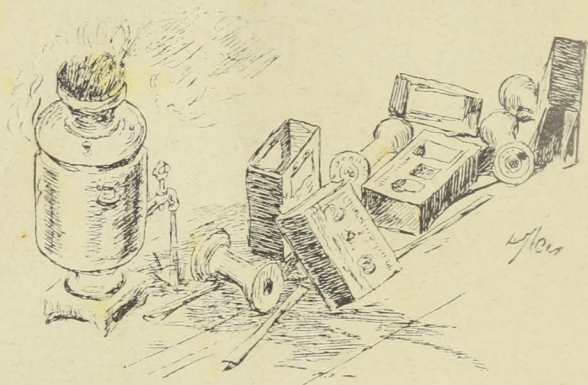
— Żegnam panią,—do jutra córeczka jej będzie zupełnie zdrowa — dodał ów doktor, kłaniając się i wychodząc.

Bibi rzeczywiście wyzdrowiała, gdy tylko Zosia pociągnęła sprężynkę, zaczęła znów oczki i buzię otwierać.

Tylko była bardzo blada, rumieńce jej nie wróciły.

Wprawdzie pan doktor pociesza, że rumieńce wrócą, ale Zosia jakoś nie bardzo temu wierzy.





## Parowa maszyna.



**K**arolek lubił wycinać z papieru rozmaite zwierzęta i bawił się tem doskonale. Ale przyszła mu teraz ochota zbudować kolej, tylko nie wiedział, jak się wziąć do tego. Dopomógł mu



w tem ojciec. Wziął kilka pudełek od zapalek, pokazał jak wycinać w nich okna i drzwi, jak połączyć pudełka i zamienić je na wagony.

Karolkowi podobało się to zajęcie i z wielką dokładnością urządził aż sześć wagonów.

Podłożył też pod nie koła zrobione ze szpulek od nici, nawleczonych na drucik.

— Żeby tak położyć szyny, wagony mogłyby doskonale kursować! — rzekł, przypatrując się swojej robocie.

Jak zaczął szukać, znalazł jakieś wąskie blaszki, zrobił z nich szyny i ustawił na nich wagony.

Aż klasnął w ręce z radości, bo wybudowana przez niego kolej bardzo ładnie się przedstawiała.

Przypatrywał jej się też z wielkiem upodobaniem, a wreszcie rzekł, westchnąwszy:

— Żeby tak przyczepić do nich maszynę, tożby to była dopiero uciecha!

I zaczął się namyślać, jakby to zrobić maszynę.

Nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Mam, mam już maszynę!

Pobiegł do kącika, gdzie stały zabawki jego siostrzyczki, wyszukał między niemi samowarek i znów z wielką radością zawołał:

— Jest już i maszyna, a teraz jazda!

Nalał zaraz wody do samowarka, narzucił w kominek opalonych zapalek, przywiązał wagony do kraniku od samowarka i z miną prawdziwego maszynisty podpalił drewienie w kominku samowara.

— Niech się tylko woda zagotuje, zaraz pójdzie kolej.

Wiórki się w kominku spaliły, woda w samowarku zaczęła nawet syczyć, ale wagony stały w miejscu.

— A to dopiero! wszystko zbudowałem jak należy, a te przebrzydłe wagony ani myślą się ruszyć—rzekł zafrasowany.

— Trzeba je pociągnąć, to potem pójdą same — dodał.

I jak rzekł, tak i uczynił.

Ale cóż się stało?

Wagony przywiązane do kraniku odkręciły kurek od samowarka, woda z niego wyciekła i zalała całą kolej.

Wagony rozmiękle się poprzewracały, poodczepiały jeden od drugiego i wszystko się popsulo.

— A to katastrofa!—zawołał Karolek, otrząsając z wody rozmiękle wagony.

— Ale to nic, nie udało mi się raz,  
może się udać drugi! — rzekł sobie.

I wziął się do odbudowania kolei.



## Kotek i Kocia.



**K**ostunia dostała od cioci ślicznego białego kotka z czarną łatką na łebku. Łapki miał także czarne i wyglądał zupełnie, jakby chodził w bucikach.

Kostunia też o nim śpiewała:

„Mały Białuś buty ma,  
Lecz kocina bardzo zła!“

Kotek zwał się Białuś a był też rzeczywiście bardzo zły, ale tylko wtedy, kiedy mu kto dokuczył.

Kostunia tej jego złości doświadczyła, a było to tak:

Najpierw wzięła kłębek nici i trzymając go za nitkę, taczała po podłodze. Białuś gonił za kłębkim, chwycił go łapkami, brał w pyszczek i usiłował nitkę przegryźć.

Kostunia śmiała się, biegając z kłębuszkiem, kotek biegał za nią i oboje bawili się doskonale. Gdy zaś ubawili się do syta, Białuś przychodził, ocierał się o nóżki, Kostuni i mruczając, łasił jej się i przymilał.

Wtedy Kostunia brała go na kolana, głaskała, potem dawała trochę mleka lub kawałek bułki i znów wszystko było bardzo dobrze.

I Kostunia i kotek byli zadowoleni.

Ale raz Kostunia dostała burę od mamy za to, że nie posprzątała zabawek i nie obrąbiła chusteczki dla lalki a w dodatku i igłę i nici zgubiła.

Usiadła więc w kącie na małym stoleczku i siedziała zadąsana, nie mając ochoty do zabawy.

Biały przychodził, ocierał się o nią, mrucał, a widząc że Kostunia na niego nie patrzy, wskoczył jej na kolana i miaucząc, prosił o zwykłą zabawę i pieszczoty.

Lecz Kostunia zamiast pogłaskać, uderzyła go po grzbiecie i z kolan zrzuciła.

Kotek odwrócił się, popatrzył, wskoczył jej powtórnie na kolana, wysunął pazurki ze swoich czarnych bucików, zadrapnął w rękę Kostusią i mrużąc gniewnie, zeskoczył.

Wtem przyjechała ciocia i przywitawszy się z Kostunią, spytała:

— Cóż się to stało, że masz rękę podrapaną?

— To ten szkaradny Białuś tak mi się przysłużył—zawołała Kostunia.

I opowiedziała wszystko jak było.

Ciocia się uśmiechnęła i rzekła:

— Białuś, jak zwykle kocina,  
Jak kto z nim, tak on, poczyną  
Bo ma takie obyczaje,  
Że co bierze, to oddaje.

I zaraz spytała ciocia:

— Kto winniejszy, kot, czy Kocia?





## Powozik.



**M**ała Jania pojechała na spacer.  
Ale jak pojechała?

Oto pojechała w małym powoziku, opiętym niebieskimi frankami. Powozik popychała piastunka jej, Kasia, a Jania siedząc w nim, rozglądała się na wszystkie strony i klaskała w ręczki z radości.

Przy powoziku szedł Wicio, braciszek Jani, a idąc mówił:

— Ja jestem już duży, muszę się opiekować moją malutką siostrzyczką!

I co chwila jej w oczki zaglądał



a dziewczynka śmiała się i czasem rączki do niego wyciągała.

Wjechali tak do pięknego miejskiego ogrodu, gdzie się bawiło dużo dzieci

i dużo takich powozików z niebieskimi firaneczkami przejeżdżało.

Jeden chłopczyk, imieniem Leoś, przybliżył się do Wicia i rzekł:

— Pójdź, jest tam jeden taki powóz, w którym nikt nie siedzi, zaprzęgniemy się i będziemy udawać konie!

Wicio zaraz z nim pobiegł, ale już w powoziku siedziało dwoje dzieci.

— To dopiero, wsadzili już dzieciaki i nie możemy się bawić!—zawołał z niechęcią Leoś.

— To i tak zaprzęjemy się i będziemy udawać konie!— rzekł Wicio, wyjmując duży kawał sznurka z jednej kieszeni i zdejmując lejce czerwone, które sobie w pasie przewiązał.

— Eh, co mi to za zabawa!

Wtem Kasia wyjęła Janię i uczyła ją chodzić.—Chłopcy zaraz dostrzegli pusty powozik, a Leoś zawołał:

— Widzisz, mamy pusty powóz.

— A tak, to jest powozik mojej siostrzyczki! — odrzekł Wicio.

I nie namyślając się, zaprzęgli się i brykając, parskając, pobiegli z nim szybko.

Kasia wołała za nimi, ale gdzie tam, żaden ani się odezwał.

— Wjedziemy na tę wysoką górę! — zawołał Leoś.

I dalejże poczęli wciągać powozik na wielką kupę kamieni, które nagromadzono na podmurowanie do altany.

Kamienie staczały się, ale oni nie zważając na to, na sam wierzch wózek wciągnęli.

— A teraz jazda z góry — zakomenderował Leoś.

I biegli na dół, potykając się o kamienie.

— Zła droga!—zawołał Leoś, który uderzył się potężnie o kamień.

Biegł jednakże dalej.

— Prr! coś się stało!—zawołał Wicio.

Rzeczywiście *coś się stało*, bo dwa koła od powoziku odpadły.

— Co Wicio zrobił?—zawołała Kasia, która, wzięwszy na ręce Janinkę, podążała za rozbrykanymi chłopcami.

— Taki śliczny powozik, pierwszy raz Jania nim wyjechała i te szkaradne zbytniki popsuli.

Leoś umknął zaraz, a Wicio był bardzo zawstydzony.

Żałował mocno swego postępowania, ale to powoziku nie naprawiło.





SEN

KAROLKA.



Okno z pokoju Karolka wychodziło na maleńki ogródek, w którym rosła piękna rozłożysta jabłoń. Z wiosną drzewo okrywało się blado różowemi kwiatami, a gdy otworzono okno, prześliczna woń wchodziła do pokoju.

Prócz tego na gałązkach siadywały ptaki i wołały:

— Cir, cir, cir!

Karolek lubił siedzieć w oknie, przypatrywać się i słuchać ich cirkania.

Rzucał im także okruszyny bułki, kawałki drobno pokrajanego mięsa, a nawet kupił dla nich za swoje własne pieniądze trochę pszenicy i sypał po trochu. Ptaszki chwytaly chciwie ziarnka, a na podziękowanie coraz głośniejsz wołały:

— Cir, cir, — cir, cir, cir!

Wkrótce ptaszki się tak oswoiły, że przychodziły tuż za okno i dziobały w szybę.

Czasem, gdy Karolek spał długo, cirkanie ptaszek i dziobanie w szybę budziło go ze snu.

Wtedy zrywał się prędko i mówił:

— Wstyd mnie, że takie małe ptaszyny wcześniej wstają odemnie!

Ale raz rzekł sobie:

— Kiedy te ptaszki tak się ze mną oswoiły, będą pewnie bardzo zadowolone, gdy je wezmę do pokoju.

Wyciągnął więc rękę, żeby którego z nich schwytać.

Ale gdzie tam, ptaszek pofrunął, a nawet na drugi dzień nie przyszedł na okno, tylko kołysał się na gałązce, kręcąc główką to w tę, to w ową stronę.

— Poczekaj, złapię ja ciebie!—zawołał Karolek.

Zrobił więc sidła i położył je za oknem.

Po kilku dniach ptaszek, nie domyślając się niczego, przyszedł znów pod okno i dziobał najspokojniej porzucone okruszyny.

Nasyciwszy się, chciał odlecieć.



Ale napróżno rozwijał skrzydelka, próżno się szarpał, nóżki miał uwięzione i nie mógł podlecieć do góry.

— Cir, cir, cir!—wołał żałośnie.

Ale Karolek nie rozumiał tego cirkania tylko wysunął rękę i zabrał ptaszka do pokoju.

— Musisz teraz ze mną siedzieć, dam ci jeść i pić, dam ci cukru, ale cię już nie wypuszczę!—mówił Karolek, trzymając w rękę przestraszonego ptaszka.

Potem dał mu wody, cukru, pszenicy, ale ptaszek siedział smutny, osowiały i nie tknął zastawionych przysmaków; w końcu zamknął oczki i zdawało się, że drzemie.

Karolek położył się spać, ale o dziwo, sen miał bardzo niespokojny.

I nic dziwnego. Śniło mu się bowiem, że go przeniesiono do innego mieszkania,

że go zabrano od mamy i taty i powiedziano:

— Będziesz miał co jeść i pić, ale nigdy z tego pokoju nie wyjdiesz.

Szarpał się i chciał uciekać; nic z tego, popieszczono go, pogłaskano, ale drzwi nie otworzono.

Nagle usłyszał jakiś głos żalony i uderzenie w okno.

Obudził się, świtać zaczęło.

Ptaszek trzepotał skrzydełkami w szybę i cirkal żalony.

Karolek wyskoczył z łóżka, otworzył okno, wołając:

— Idź ptaszyno na świat Boży, byłbym bardzo niegodziwy, gdybym cię chciał zatrzymać!

Potem położył się spać uszczęśliwiony i teraz spał już spokojnie. Ptaszek za

oknem cirkal wesoło a Karolek śnił, że  
jest znów z mamą i tatusiem i że mu  
nikt nie broni wyjść z pokoju.

Ptaszku, śpiewaj, leć z piosenką,  
W niebiosy się wzbij,  
Przyleć do mnie po ziarenko,  
Lecz swobodnie żyj!



## Języczek Władzia.



**W**ładzio był bardzo dobry chłopczyk, ale miał jedno bardzo brzydkie przyzwyczajenie.



Jak tylko słuchał, że kto co opowiada i to opowiadanie go zacieka-  
wiło, albo jak się za-  
myślił, albo też co maj-  
strował—wyścibiał zaraz język.

Najpierw pokazywał tylko koniuszek języka, potem coraz więcej, więcej, aż nareszcie wysuwał go prawie do połowy.

Mama gniewała się na niego i ciągle wołała:

— Władziu, nie pokazuj języka!

Władzio myk, schował język, ale po chwili znów siedział z językiem wywieszonym.

Raz przyjechali jedni państwo z córeczką Femcią, z którą się zaraz Władzio zaprzyjaźnił i oboje doskonale się bawili.

Przy kolacyi ojciec Femci zaczął opowiadać o polowaniu, z którego co tylko powrócił i o wilku, którego zabił.

Władzia zaciekawilo opowiadanie, słuchał z wielką uwagą, ale co chwila wysuwał język.

Mama spoglądała na niego i ciągle dawała mu znaki, żeby języczek schował.

Ale mama nie mogła ciągle patrzeć na Władzia, bo musiała przecież gościami się zająć.

Władzio też tak się zapomniał, że cały język wywiesił.

Femcia, długo nic nie mówiąc, patrzyła na niego i po cichu się uśmiechała. Wreszcie wzięła dużą szczyptę pieprzu i znienacka wyspała Władziowi na język.

— Tfuu!—zawołał chłopczyk, wycierając język serwetą.

— Coś ty zrobiła, Femciu? — mówił, patrząc na nią z wielką urazą.

— A cóż, pokazywałeś tak długo język, nie wiedziałam, czego chcesz i dałam ci pieprzu—odrzekła Femcia z bardzo poważną miną.

— Femciu, jesteś niegrzeczna, przeproś zaraz Władzia! — skarciła ją mama.

— Owszem, bardzo jestem wdzięczna Femci, może to mego synka oduczyci od brzydkiego nawyknienia—ozwała się mama Władzia.

A ojciec, śmiejąc się, rzekł:

— Powinieneś podziękować Femci, że cię takim przysmakiem poczęstowała.

— No, no, i Femcia ma także jedno brzydkie przyzwyczajenie! — ozwał się Władzio, patrząc na nią z ukosa.

— A jakie?—spytała dziewczynka.

— Nie powiem, aż cię na niem złapie!—odrzekł Władzio.

I oboje pobiegli bawić się do drugiego pokoju.

Ale Władzio tak się zawstydził i zapamiętał pieprz na języku, że ile razy zacznie go wysuwać, czempredzej chowa, oglądając się, czy kto nie widział.



## Jakie przyzwyczajenie miała Femcia?



Femcia, która sobie tak zażartowała z wyciągniętego języczka Władzia, miała także brzydkie nawyknięcie. Oto oparłszy się łokciami na stole, podpierała brodę piąstkami, garbiła się też przy tem, że o mało łopatkami nie przedziurawiała na plecach sukienki.





Mama martwiła się tem bardzo, ojciec zakładał jej linię pod pachy i prostował, ale to wszystko nic nie pomagało.

Jednego dnia Femcia bawiła się z Władziem, oglądali razem prześliczne obrazki, które Femcia od wujaszka dostała.

Dopóki oglądali obrazki, Władzio nie miał czasu patrzeć ani na zgarbione plecy Femci, ani na jej brodę, opartą na piąstkach.

Gdy zaś odłożyli książkę i Femcia po swojemu się zgarbiła i łokcie położyła na stole, Władzio podstawił jej swoją pięść pod brodę.

— Co ty robisz? — zawołała Femcia z oburzeniem.

— Myślałem, że ci będzie wygodniej trzymać brodę na trzech pięściach i pożyczylem ci swojej—odrzekł, śmiejąc się Władzio.

Femcia zeczerwieniła się i nic nie mówiąc, zdjęła ręce ze stołu, ale się jeszcze bardziej zgarbiła.

Władzio tymczasem stanął za nią i począł palcami bębnić na jej zgarbionych plecach.

— A to znów co nowego?—ozwała się Femcia i stanęła wyprostowana.

— Przepraszam cię, myślałem, że masz na plecach dwa bębni i chciałem wygrać pobudkę.

Femcia jeszcze więcej się zaczerwieniła i śmiejąc się, odrzekła:

— Prawda, ja ciebie oduczylam wywieszać języczek, nic więc dziwnego, że mnie chcesz oduczyć od garbienia się i podpierania łokciami.

Władzio zaś, pochwyciwszy ją za ręce, kręcił się z nią po pokoju i zaśpiewał:

Stroiliśmy żarty z siebie:

Ty raz ze mnie, ja raz z ciebie!

---

## Urodziny Zygmunia.



Zygmunt chodził do szkoły. Ale nie do takiej szkoły, gdzie uczą czytać i pisać, tylko do takiej, gdzie dzieci śpiewają piosenki, bawią się w gry, poznają rozmaite zwierzęta i rośliny, a także wyszywają na kanwie, splatają koszyczki i uczą się wyrabiać z gliny ptaszki, kwiatki, oraz różne drobne przedmioty.

Zygmunt ogromnie lubił te wszystkie zajęcia i gdy raz dostał kaszlu i mama nie pozwoliła mu pójść przez kilka dni

do szkoły, bardzo się tem martwił i ciągle powtarzał:

— Ciekawym bardzo, co też tam w szkole robią?

Jeżeli Zygmus lubił nauczycielkę, towarzyszków i towarzyszkę, Zygmutia również wszyscy w szkole lubili.

I niema w tem nic dziwnego.

Zygmus był bardzo grzeczny chłopczyk, doskonale pamiętał, co która z nauczycielek opowiadała i potem umiał to ładnie powtórzyć. Śpiewał też piosenki i bawił się w wróbelka i inne gry, nigdy się nie obrażał, gdy go które z dzieci niechcący popchnęło, lub na nóżkę nastąpiło. Gdy zaś wychodził ze szkoły, nie pozwalał młodszym i słabszym dzieciom szturchać lub w błoto spychać, jak to czasem przytrafia się niektórym chłopczykom, a nawet i dziewczynkom.

Owszem, gdy wychodzili ze szkoły, pomógł nieraz jakiemu młodszemu dziecku ubrać się i zabrać rzeczy, w szkole potrzebne.

Raz nawet ochronił Teosia, największego rozpustnika z całej szkoły od kary.

A było to tak:

Teosiowi przyszło na myśl wsypać po trochu sadzy do pudełeczek, które dzieci z papieru wyrobiły. Zygmus najpierw wziął swoje pudełeczko i nie wiedząc o niczem, cały sadzami się umazał.

Teoś, zobaczywszy to, począł na niego palcem pokazywać i śmiać się, aż nauczycielka musiała go surowo napomnieć.

Zobaczyła też zaraz umorusanego Zygmuta.

— A tyś co z sobą zrobił?—zapytała.

— Wysypałem jakiś czarny proszek

niechący — odrzekł Zygmus, rumieniąc się cały.

— Idź, umyj się, a drugi raz tego nie rób!—ozwała się nauczycielka surowo.

I zaraz spostrzegła, że inne dzieci mają sadze w pudełeczkach.

— Kto tego proszku nasypał?—zapytała surowo.

Teos się nie przyznał, tylko udał niewiniątko.

Teraz Zygmus przypomniał sobie, że gdy przyszedł, widział psotnika, kręcącego się po sali. Spostrzegł jakiś czarny papierek w jego ręku, nic jednak nie rzekł, bo nie chciał towarzysza obwiniać.

I jakoś się Teosiowi upiekło.

Ale gdy nadchodziły urodziny Zygmuśia, Teos najpierwszy rzekł do dzieci:

— Wiecie co, ten Zygmus to dobry chłopiec, zrobimy mu jaką niespodziankę na urodziny.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedziały  
dzieci jednozgodnie.

Nauczycielka pochwaliła zamiar dzieci



a nawet im do tej niespodzianki dopomogła.

— A gdy Zygmus przyszedł w dzień swych urodzin do szkoły, znalazł na ścia-

nie w sali wielki papier, na nim wypisane:

— *Grzecznemu Zygmusiowi towarzysze i towarzyszki.*

Na stoliczku zaś pod owym papierem stały koszyczki z papieru, pudełeczka i buciki z gliny, rozmaite piękne wyszywanki, które dzieci same zrobiły i dobremu towarzyszowi na pamiątkę podarowały.

Zygmuś bardzo się z tego ucieszył, podziękował i powiedział sobie:

— Zawsze w każdej szkole będę się starał zasłużyć na przyjaźń swoich towarzyszy.





## Łysa i siwoszka.

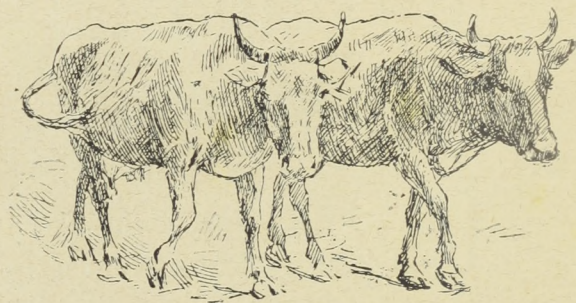


— **I**da krowy, ida, dostaniemy świeżego mleka—wołał Franuś, zobaczywszy krowy, wracające z pastwiska.

— Nim krowy dadzą mleka, trzeba im dać napić się i rzucić świeżego zieliska—odrzekła Małgosia, niosąc pełne wiaderko doskonale osolonej wody, którą krowy bardzo lubią.

— To ja im przyniosę trawy, takiej świeżutkiej, pachnącej, z kwiatkami!— zawołał Franuś.

I pobiegł pręciutko, wziął dużą garść trawy i przyniósł ulubionej swojej kró-wce.



— Tylko ostrożnie, bo ta łysa bodzi! — przestrzegła Małgosia.

— Ja też łysej nie dam, kiedy ona taka niegrzeczna — odrzekł Franuś.

— Dam tylko mojej siwoszce, ona mnie zna! — dodał.

I wyciągnąwszy ręce, napelnione wonną trawką, podsunął ją siwoszce.

Siwoszka wyciągnęła ku niemu głowę, powąchała najpierw trawę, a potem chwyciła ją chciwie z rąk Franusia.

Łysa tymczasem oglądała się ze złośliwą miną i byłaby z pewnością poczęstowała Franusia rogami, ale Małgosia stanęła przy niej i wołała:

— Stój spokojnie, ty szkaradna! żebyś nie była taka złośnica i tybyś dostała poczęstunek!

Siwoszka tymczasem zjadła trawę, potem Małgosia wydoiła krowy i dała Franusiowi napić się mleka, które mu bardzo smakowało.

Franuś, wróciwszy do pokoju, opowiedział wszystko mamie i dodał:

— Ale tej złościcy nic nie dałem!  
A mama, śmiejąc się, rzekła:

Czy to dzieci, czy zwierzęta,  
Gdy się złoścą i dąsają,  
Nie są przyjemne nikomu,  
Nic smacznego nie dostają;  
Muszą siedzieć zawsze w domu,  
Każdy się przed nimi broni,  
Odwraca się, chętnie stroni,  
Bo każdy ich złość pamięta.



## Co dzieci chciały dostać na Gwiazdkę?



Co ja też to dostaną na Gwiazdkę?—  
myślała sobie Salunia.

I przechodząc koło sklepów z zabawkami, przypatrywała im się i mówiła:

— Taką dużą lalkę z włosami dostałam od cioci,—moja nawet ładniejsza, niż ta, co tutaj stoi w różowej sukience.

— Łóżeczko dla lalki mam, kuchenkę i gospodarstwo także mam—myślała dalej.

I nagle zwróciła się do braciszka swego, Zygmuś, i spytała:

— A ty co byś chciał dostać na Gwiazdkę?



— Ja... ja... —  
mówił, jękając się,  
Zygmuś.

A w końcu rzekł:

— Eh, nie po-  
wiem!

— A to ładnie,  
mieć takie tajem-  
nice! — zawołała  
Salunia.

— Bo ty zaraz  
wszystko wyga-

dasz!—mówił Zygmuś.

— Czy to ja jestem papla?—oburzyła  
się Salunia.

I kto wie, byłoby może przyszło do  
kłótni, ale mama, która rozmawiała

dotąd z jakąś panią, zwróciła się i rzekła:

— Dzieci, idziemy już do domu.

Zygmuś i Salunia szli naprzód a mama za nimi.

Zaraz też Salunia poczęła:

— Ja to sama nie wiem, cobym chciała dostać, tyle już mam zabawek!

— Eh, co tam zabawki!—rzekł z lekceważeniem Zygmus.

— A co? — spytała Salunia.

— Ja to bym chciał dostać konika— odrzekł Zygmus.

— Masz przecież konika.

Co mi tam taki koń nieżywy, tylko wypchany!—odpowiedział Zygmus.

— To także zabawka, ja chciałbym mieć żywego konia! — dodał.

— Żywego konia... fiu, fiu!—mówiła, zamyślając się, Salunia.

— To zupełnie tak samo, jak gdybym ja chciała dostać żywą lalkę.

— Wcale co innego, bo konie żywe są, a lalek żywych niema—odrzekł Zygmuś.

W tej chwili dzieci weszły do domu i rozmowa się przerwała.

Ale Salunia wciąż łamała sobie głowę, co ona dostanie na Gwiazdkę a Zygmuś myślał o żywym koniku.





## Co dzieci dostały na Gwiazdkę?



**N**adeszła wigilia Bożego Narodzenia a Salunia pomyślała sobie:

— Nareszcie dowiem się, co dostanę na Gwiazdkę!

Zygmuś zaś tylko westchnął i rzekł:

— Wiem, że nie dostanę konika!

— Skąd wiesz? — spytała go siostra.

— Bo mama kazała zanieść drzewko do tatusia pokoju i tam je ubiera — odrzekł chłopiec.

— To i cóż? — pytała dalej Salunia.  
— Jakaś ty dziecinna, przecież konia do pokoju nie wprowadzą — mówił Zygmus z zasmuconą miną.

— Prawda! — przyświadczyła Salunia.

— A więc, gdziebyś postawił konia, gdybyś go dostał? — spytała.

Teraz Zygmus się zamyślił i rzekł:

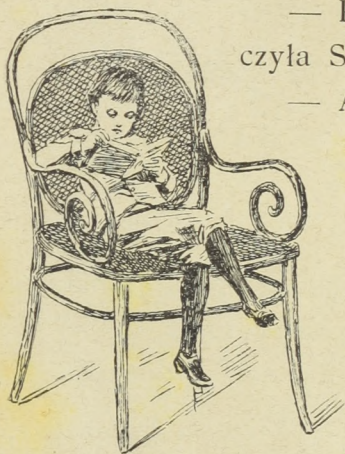
— Prawda, nie pomyślałem o tem.

I westchnął.

A potem tak sobie

rozważał:

— Dla konia nie tylko trzeba stajni, ale trzeba mu jeść dawać, trzeba także stangreta, któryby konia czyścił i jeść mu dawał.



— Nie, nie mogę się spodziewać, żeby mi rodzice dali podarunek, z którym tak dużo kłopotu... — myślał sobie dalej.

— I tyle kosztuje! — dodał.

— Już wiem, gdy urosnę, będę dużo umiał, zapracuję wtedy i kupię sobie konika!

I tak się ucieszył tą myślą, że aż podskoczył z radości.

Ucieszył się też jeszcze więcej, gdy dostał na gwiazdkę śliczną książkę z obrazkami i ojciec mu powiedział, że w tym roku pójdzie już do szkoły.

Salunia za to skrzywiła się i zrobiła minkę bardzo niezadowoloną, gdy dostała przybory do szycia, a mama jej rzekła:

— Masz tak dużo zabawek i tak nie mi nie lubisz się bawić, że teraz będzie-

my codzień szyć i z pewnością lepiej ci czas przejdzie.

Salunia teraz codzień siedzi, kraje i szyje dla lalek, a Zygmusć czyta książkę i bardzo się dobrze uczy. Z pewnością gdy urośnie, zapracuje sobie i kupi konika.



## W zimowy poranek.



**Z**imno było, bardzo zimno, śnieg padał dużemi płatkami, a wiatr zimny rzucał je prosto w oczy przechodniów.

Emilek odziany w ciepły paltocik z wysokim kołnierzem, podniesionym do góry, w czapeczce futrzanej, z tornistrem na plecach biegł szybko do szkoły.



Ręce włożył w kieszenie paltota, żeby mu nie zziębły i szedł, nie zważając na wiatr i zimno.

Wkrótce spotkał Fredzia, który również szedł do szkoły, ale trząśł się z zimna. Buzię miał czerwoną, od czasu do czasu pociągał nosem, lub rozcierał sobie uszy.

— A to dopiero z ciebie zmarzłak, drżysz tak i wyglądasz cały zziębnięty! — rzekł do niego Emilek.

— A tak, zimno mi, bo też dziś i mróz i zawieja! — odrzekł Fredzio, usiłując schować ręce w rękawy, które były tak krótkie i wąskie, że żadnym sposobem okryć mu rąk nie mogły.

Teraz dopiero Emilek spojrzał na towarzysza i spostrzegł, że Fredzio miał letni paltocik z wywiniętym kołnierzem, maleńką letnią czapeczkę i bardzo krót-

kie spodeńki. Buciki też były cienkie i tak zniszczone, że z pewnością woda przez nie przeciekała.

Spojrzał pomimowoli na swe ciepłe kalosze i już miał ochotę mu powiedzieć:

— Teraz wiem, dla czego tak drżysz, masz buty dziurawe i takie lekkie odzienie!

Już nawet usta otworzył, ale się wstrzymał i rzekł, biorąc go pod rękę:

— Włóż rękę w moją kieszeń i przytul się do mnie, gdy będziemy iść obok siebie, będzie nam ciepłej!

Fredzio rzeczywiście przytulił się do swego towarzysza i zawołał:

— Jakiś ty dobry, Emilu!

I tak go ta dobroć rozgrzała, że mu się aż w serduszku ciepłej zrobiło.



## Biedny towarzysz.



Gdy Emilek i Fredzio przyszli do szkoły i zdejmowali zwierzchnie odzienie, Emilek spojrział znów na lekki paltocik towarzysza i pomyślał sobie:

— W takim ubraniu doprawdy można zmarznąć!

— Biedny chłopiec! — dodał w myśli, westchnąwszy.



A potem, wieszając swój ciepły pal-  
tot, znów myślał sobie:

— Jacy moi rodzice dobrzy, że tak  
myślą o mnie i nic mi nie brakuje...

Wkrótce chłopcy zasiedli zaraz do  
lekcyi.

Fredzio ogrzał  
się wkrótce, lecz  
twarzyczkę miał  
bladą i łzy kręciły  
mu się w oczach.

Emilek spoglą-  
dał często na niego  
i znów myślał so-  
bie:



— Ten Fredzio musi być bardzo  
biedny, kiedy nie ma ciepłego odzienia;—  
ale jakże go o to zapytać?

I ta myśl tak go dręczyła, że nawet  
nie uważał na lekcją i nauczyciel kilka  
razy powtórzył:

— Emilu, czemu nie uważasz!

Gdy przyszła godzina pauzy, każdy wyjął drugie śniadanie i biegł wesoło do sali rekreacyjnej, żeby się posilić i zabrać, Fredzio tylko oparł się o ścianę i smutnie spoglądał na towarzyszy. Emilek zbliżył się do niego i zapytał:

— Czy u was kto chory, żeś taki smutny?

— Tak, mama chora, już od tygodnia z łóżka nie wstaje — odrzekł Fredzio i dwie łzy zaświeciły mu w oczach.

Teraz i Emilek posmutniał.

Przypomniało mu się, że i jego mama była chora, wszyscy byli smutni, a on płakał, gdy ją zobaczył bladą, niemogącą do niego i słowa przemówić.

Po chwili zaś rzekł:

— Czemużeś mi tego nie powiedział,

ojciec mój jest lekarzem, poproszę go, to twoją mamę odwiedzi.

Fredzio ścisnął Emila za rękę, lecz jeszcze niżej spuścił głowę i rzekł:

— Mama bardzo, bardzo chora!

— Nie martw się, ojciec mój z pewnością twoją mamę uleczy — pocieszał go Emilek.

A potem naraz dodał:

— Mama twoja chora, pewnie nie miał ci kto dać śniadania, mnie dziś tak dużo dano, że i połowy nie zjem.

— No, dalej, nie rób ceremonii i zjadaj bułkę z szynką! — dodał, rozwijając przyniesione śniadanie i częstując niem towarzysza.

A zapraszał tak serdecznie, że Fredzio, chociaż był zmartwiony, zjadł jednak bułkę z wielkim apetytem.

— On z pewnością nie tylko, że nie ma ciepłego odzienia, ale musiał być i głodny! — pomyślał sobie Emil, patrząc na towarzysza.

— Biedny chłopiec! — dodał, westchnąwszy.



## Emilek.



Fredzio i Emilek powracali znów razem do domu, a chociaż śnieg tak samo sypał jak z rana, Fredziowi jakoś cieplej było.

A czemu?

Oto Emilek pocieszał go, że mama wyzdrowieje, w sercu więc biednego Fredzia weselej się jakoś zrobiło.

Emilek jak tylko wrócił do domu, opowiedział ojcu o swoim towarzyszu, który ma chorą matkę.

Ojciec Emilka poszedł zaraz do niej, ale niestety, nie mógł już nic poradzić.



Wkrótce mama Fredzia umarła.

Fredzio już dawno ojca nie miał, był więc teraz zupełnym sierotą

Ale miał dobrego towarzysza i przyjaciela, — był nim Emilek.

Ten, jak tylko dowiedział się, że matka Fredzia nie żyje, ukląkł u kolan ojca i prosił:

Tatusiu, niech się Fredzio do nas przeniesie, gdzie on się teraz podzieje?...

Ojciec Emilka spojrział na niego, pogładził go po głowie i rzekł:

— Poproś o to mamę.

Mama uściskała Emilka i powiedziała:

— Dobrze mój synku, ale trzeba, żebyś był zawsze dobrym dla niego, a prócz tego, nie niszczył swego ubrania i książek, bo tatuś bardzo ciężko pracuje i nie można mu wydatków przysparzać.

Emilek zamyślił się, a potem rzekł:

— Zrozumiałem, co mamusia mówiła;—zobaczy mamusia, że zrozumiałem.

I rzeczywiście odtąd nigdy nie splamił ubrania, sam je zawsze czyścił i układał, obcasami nie uderzał umyślnie o kamienie, nie darł więc tak bucików jak dawniej. Z kajetów nie wydierał kartek, atramentu nie rozlewał, a książek nie gubił.

Słowem, dał dowód, że zrozumiał, co mama mówiła.

Tym więc sposobem Fredzio nie przyniósł wielkich wydatków rodzicom Emilka.

To co dawniej na Emilka wydawali, rozdzielają na dwóch i zawsze wystarczy.

Emilek i Fredzio wychowują się teraz razem i z pewnością wyrosną na bardzo dzielnych młodzieńców.





## SPIS RZECZY.

---

|   | <i>str.</i> |
|---|-------------|
| Słoneczko . . . . .                             | 5           |
| Kruczek. . . . .                                | 11          |
| Pan doktor . . . . .                            | 15          |
| Parowa maszyna . . . . .                        | 20          |
| Kotek i Kocia . . . . .                         | 25          |
| Powozik . . . . .                               | 29          |
| Sen Karolka . . . . .                           | 34          |
| Języczek Władzia . . . . .                      | 40          |
| Jakie przyzwyczajenie miała Femcia? . . . . .   | 44          |
| Urodziny Zygmunia. . . . .                      | 47          |
| Łysa i siwoszka. . . . .                        | 53          |
| Co dzieci chciały dostać na Gwiazdkę? . . . . . | 57          |
| Co dzieci dostały na Gwiazdkę? . . . . .        | 61          |
| W zimowy poranek . . . . .                      | 65          |
| Biedny towarzysz. . . . .                       | 68          |
| Emilek . . . . .                                | 73          |



WYCIĄG Z KATALOGU NAKŁADOWEGO  
KSIĘGARNI I SKŁADU NUT  
KONSTANTEGO TREPTEGO

w Warszawie, ul. Marszałkowska 149.



- A. B. C. Gwiazdkowe.** Z wierszykami *Or-Ota*, i licznymi rycinami w pięknej kolorowej okładce. — 45
- A. B. C. Tęczowe,** z 91 kolorowanymi ilustracjami. Tekst *Or-Ota*. Modlitwy, rady, powinszowania, piosenki. 1 20
- Ali Baba** i czterdziestu rozbójników. Tekst *Or-Ota*. W ozdobnej okładce, z chromolitografiami i rycinami w tekście. — 75
- Atlas geograficzny B. Kozenna,** spolszczył Dr. Prof. E. Janota, poprawił Br. Gustawicz.. Wyd. nowe 3 60
- Baśnie polskie,** napisał *Or-Ot*. Wspaniałe wydanie z ilustracjami T. Jaroszyńskiego, w pięknej chromolitografowanej okładce. 1 80
- Brzegami Wisły.** Album *J. Olszewskiego*. 16 ilustracji. — 90
- Czerwony kapturek.** Baśń wierszem *Or-Ota*, w ozdobnej okładce z kolorowanymi rycinami. — 75
- „Czy to ciekawe?“** 16 powiastek dla małych dzieci, przez *Z. Morawską*, z rycinami.
- Dla naszych dzieci.** Piękna książeczka obrazkowa bez tekstu. — 60  
Toż samo w formie parawanika. 1 —
- Dudek czubaty.** Wierszyki *Or-Ota*, z obrazkami. — 15
- Dyplomacya rosyjska** w kwestyi polskiej. (1853—1863) przez *S. Tatyszczewa*. Przekład z rosyjskiego. — 90
- Guliwer u karzelków.** Książeczka w formie kajetu, bogato ilustrowana, w chromolitografowanej okładce. Tekst *Or-Ota*. — 50

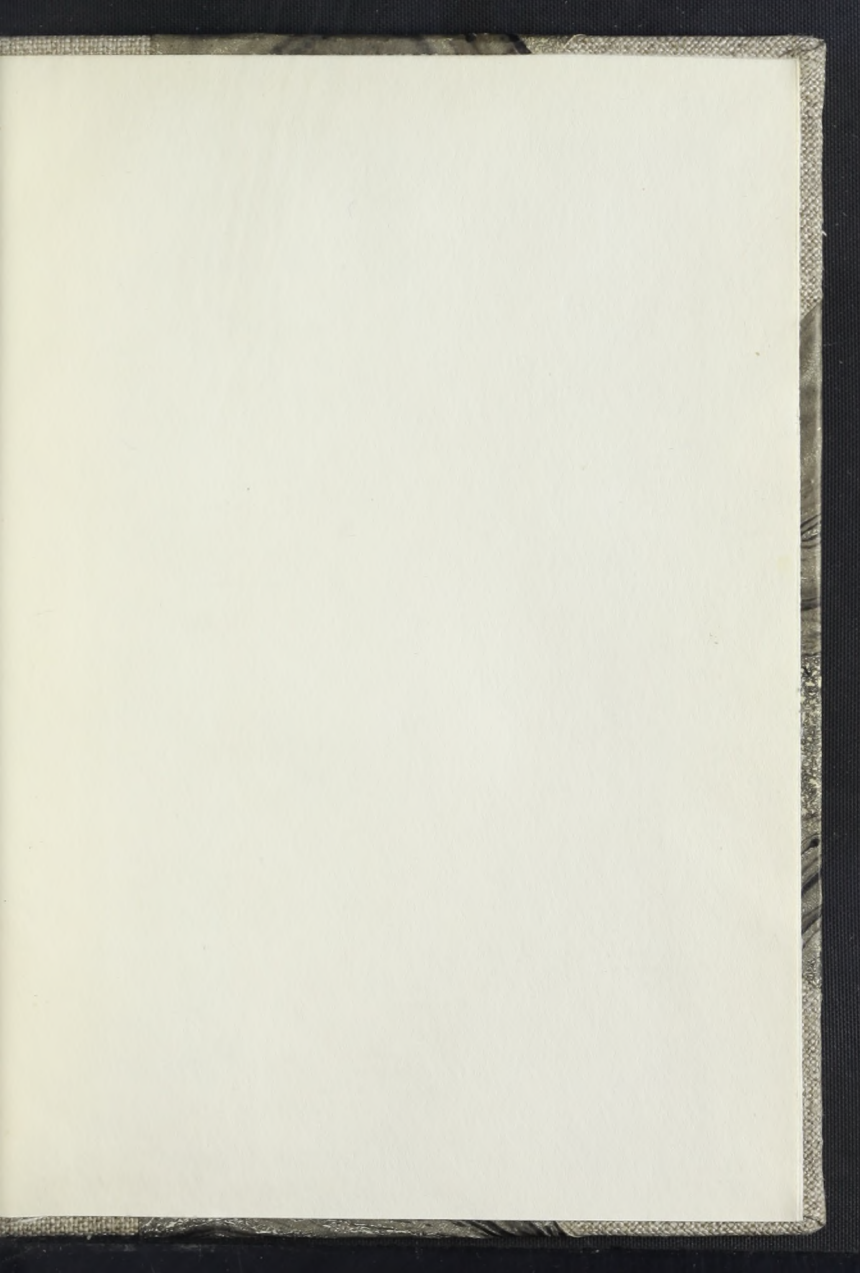
- Kot w butach.** Baśń napisana prozą rymowaną przez *Or-Ota*, z 4 wielkimi kolorowanymi rycinami i 14 obrazkami w tekście, w chromolitografowanej okładce. — 75
- Kukuryku!** Książeczka w formie kajetu dla najmniejszej dziatwy; zawiera króciutkie wierszyki i zagadki przez *Or-Cta*, z kolorowanymi obrazkami. — 50
- Książeczka czarodziejska** z wierszykami *W. Belzy* i *Rossowskiego*. Wydanie wytworne, z kolorowanymi obrazkami. 1 35
- Małe gosposie,** z wierszykami *Or-Ota*, i kolorowanymi obrazkami. — 15
- Mój ulubiony kotek.** Książeczka z kolorowanymi obrazkami, napisał *Or-Ot*. — 20
- Mój ulubiony piesek.** Wierszyki *Or-Ota*, z kolorowanymi obrazkami. — 20
- Moje powiastki.** 16 powiastek dla małych dzieci przez *Z. Morawską*, z rycinami.
- Na San-Domingo.** Powieść historyczna dla młodzieży z czasów legii naddunajskiej, przez *W. Przyborowskiego*, z rycinami *L. Ilinicza*.  
Karton 1 20
- Nasze Bobo.** Wierszyki *Or-Ota*, ozdobione kolorowanymi obrazkami. W ozdobnej oprawie 1 60
- Nasze zwierzęta domowe,** napisał wierszem *Or-Ot*, z 12 kolorowanymi rycinami. — 60
- W formie parawanika, bez tekstu. 1 —
- Parawaniki obrazkowe** na tekturce. W cenie 40 kop., 50 kop. i 1 50
- Polowanie na słonie w Afryce.** Wspomnienia młodego podróżnika. Z kolorowanymi rycinami, w ozdobnym kartonie. 1 20
- Robinson Kruzo.** Tekst wierszowany *Or-Ota*, w kolorowanej okładce z 4 chromolitografiami i licznymi rycinami. — 75
- Siostra labędzi.** Baśń wierszem *Or-Ota*, z chromolitografowanymi rycinami, w ozdobnej okładce. — 75
- Śpiąca królewna.** Baśń wierszem *Or-Ota*, z kolorowanymi rycinami. — 75

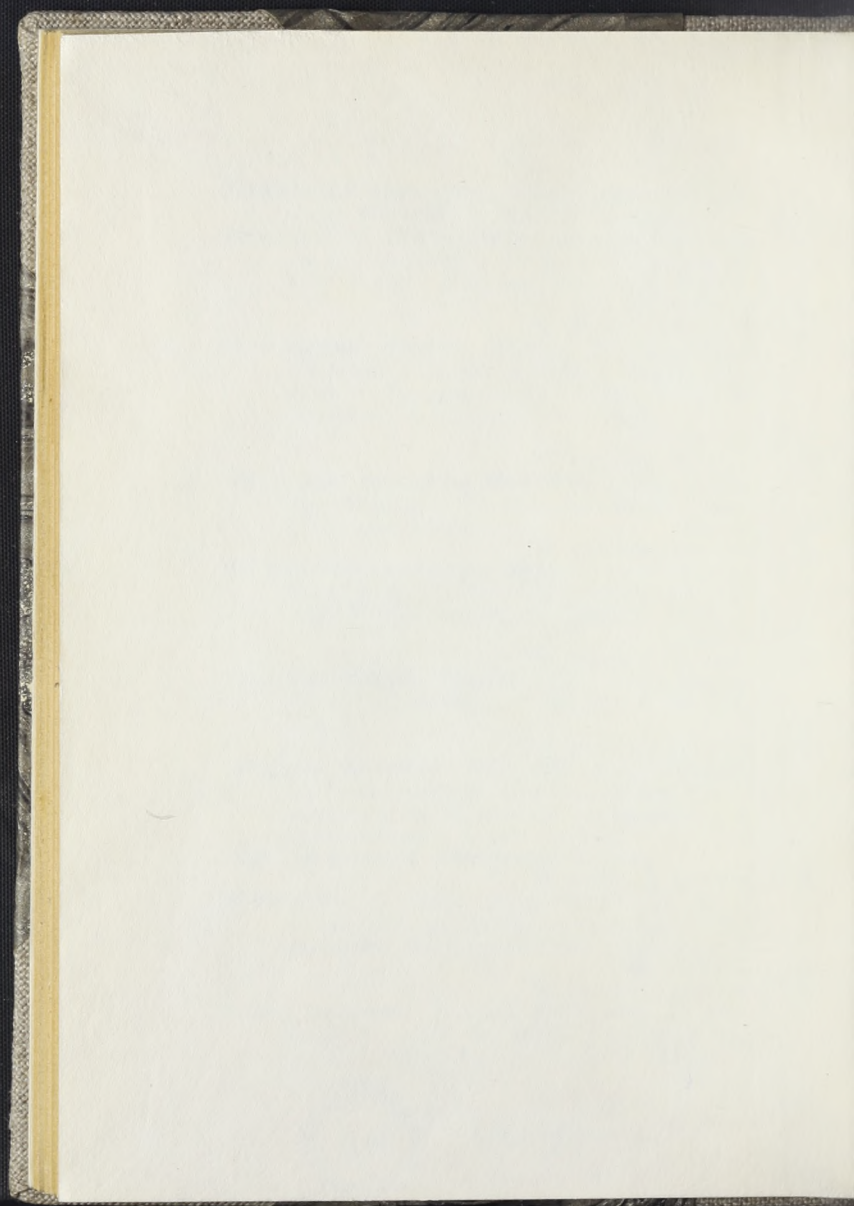
III

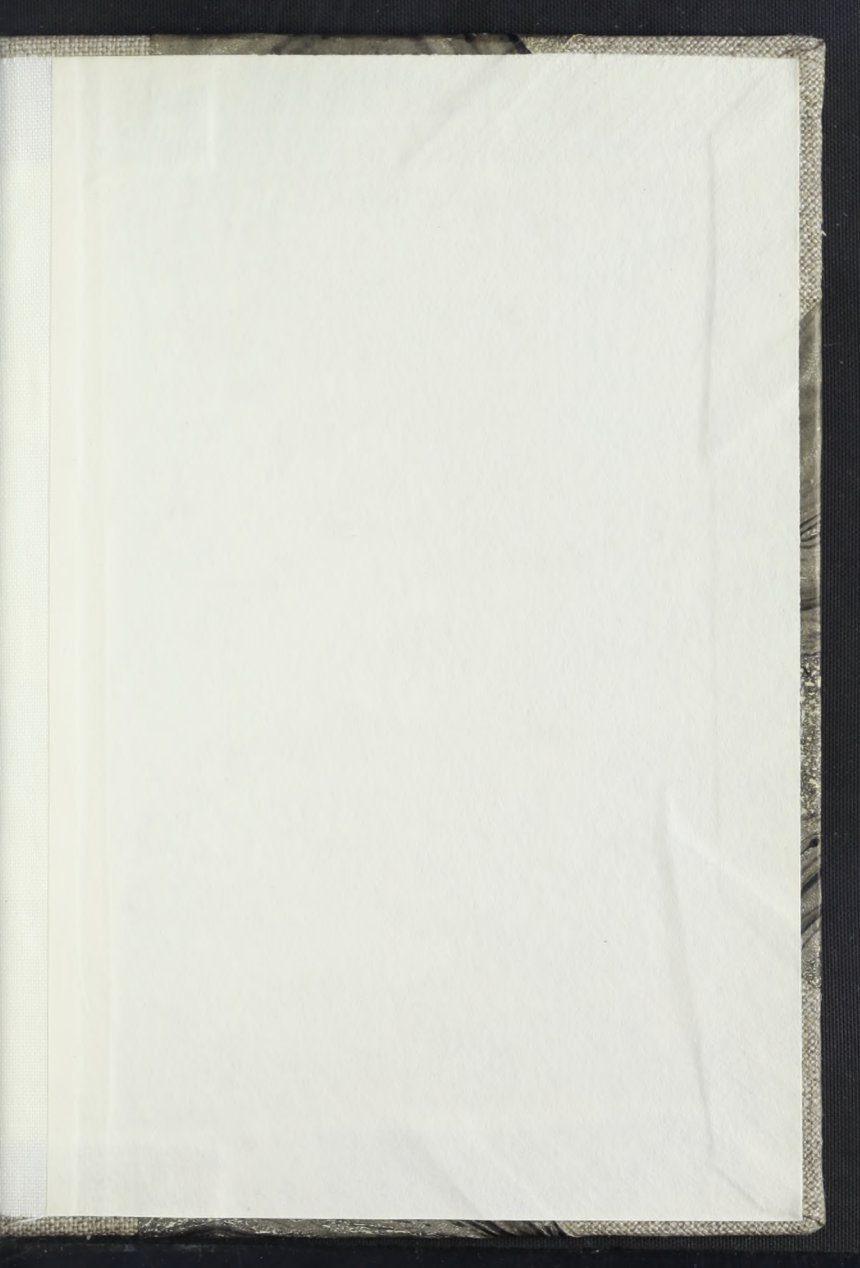
- Szkoła na skrzypce**, zebrał i opracował *Konstanty Paschalski*, z licznymi rysunkami. 3 50
- Szwedzi w Warszawie**. Powieść historyczna dla młodzieży z dawnych lat, napisał *W. Przyborowski*. Z 21 ilustracyami *L. Ilinicza*.  
W kartonie 1 20  
W ozdobnej oprawie 1 60
- Szwoleżer Stach**. Powieść historyczna dla młodzieży z czasów pobytu Legionów polskich w Hiszpanii, przez Autora „*Bitwy pod Raszynem*“. Z 17 ilustracjami *Ilinicza*.  
W kartonie. 1 20  
W ozdobnej oprawie 1 60
- W kraju mężnych Boerów**. Przygody młodego Polaka w Transwaalu, obrobił *Topór*. Z rycinami *Ilinicza*.  
Karton — 90  
W ozdobnej oprawie 1 20
- W służbie czarnego Orła**. Powieść dla młodzieży z czasów Fryderyka Wielkiego. Napisał *W. Trąpczyński*, z rycinami *L. Ilinicza*.  
Karton 1 20  
W ozdobnej oprawie 1 60
- Wielki Książę Konstanty**. Zarys biograficzny z 6 ilustracyami. Napisał *E. P. Karłowicz*.  
W ozdobnej oprawie 1 20  
1 80
- Wojsko polskie 1815—1830** przez *Bronisława Gembarzewskiego*, in folio z 8 chromolitografiami i bardzo licznymi ilustracyami, opatrzone wstępem *A. Rembowskiego*.
- Wybór poezyi Deotymy**. 2 tomy.  
W ozdobnej oprawie 3 80
- Z dworów i chat**. 15 powiastek dla dzieci od lat 8-miu do 10-ciu, opowiedziała *M. Bogusławska*. Z 15 rysunkami *L. Ilinicza*.  
W Kartonie — 90  
W ozdobnej oprawie 1 20
- Złota ostroga**. Powieść historyczna dla młodzieży z czasów Ks. Józefa Poniatowskiego, przez *Z. Morawską*, z rycinami *L. Ilinicza*.  
Karton 2 —  
W ozdobnej oprawie 2 40



*MK*  
*Antykw. D.K.*  
*Kraków, 4-7-70m*









BN

BIBLIOTEKA  
NARODOWA

439227

---

---